



NIEZNAJOMI Z PARKU

TO NIE JEST
PO PROSTU
ROMANS...

JOANNA ŁUKOWSKA

RW2010

JOANNA ŁUKOWSKA
NIEZNAJOMI Z PARKU

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja: zespół RW2010

Korekta: Natalia Szczepkowska, Andrzej Homańczyk

Copyright © Joanna Łukowska 2014

Okładka Copyright © Mateo 2014

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie II

ISBN: 978-83-63111-14-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Redakcja: korekcja@rw2010.pl

Zapraszamy na naszą stronę: www.rw2010.pl

*Ufność nie jest grzechem, choć często bywamy za nią karani.
Pielęgnowanie w sobie nieufności samo w sobie jest winą i karą.*

Joan Bowen

Doktor Clay MacAlister znajdował się w stanie najwyższego wzburzenia, a mówiąc krótko, był po prostu wściekły. Przenosił wzrok ze swojego brata Stevena na jego żonę Marię i nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Czy wy już do reszty zwariowaliście?! Chyba tylko to tłumaczy cel waszej wizyty! – krzyczał. – Nie mam zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci, szczególnie zaś małych dziewczynek. Chyba coś wam się pomyliło; jestem psychiatrą, a nie psychologiem dziecięcym. Do tego jestem nieznośny, marudny i okropnie zajęty. Nic jej nie mogę ofiarować, no, może z wyjątkiem dachu nad głową – zadrwił.

– I właśnie o to nam chodzi – szybko podjęła temat jego bratowa. Zdawała się zupełnie niezrażona niechęcią doktora. – My będziemy teraz stale w podróży, bez żadnych konkretnych planów, przenosząc się z miejsca na miejsce. To nie jest odpowiednie życie dla dziecka. Ona potrzebuje jakiejś stałości, domu, przyjaciół, szkoły...

– No tak, ale...

– Clay, proszę cię. – Steven nie pozwolił mu dokończyć. – Jesteś naszą jedyną nadzieją. Będziemy was odwiedzać tak często, jak to tylko możliwe, a Julia to takie grzeczne i niekłopotliwe dziecko. Prawda, kochanie? – zwrócił się z uśmiechem do córki. – Obiecuj mi, proszę, że będziesz grzeczną dziewczynką.

– Tak, tato. Będę – odpowiedziała cicho.

– Hmm. Może... Sam nie wiem. – Wbrew sobie MacAlister nie chciał zbyt ostrą odmową sprawić przykrości tej małej. – A po co, do diabła, w ogóle musicie wyjeżdżać?!

Steven i Maria spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

– Musimy, ale też... po prostu chcemy – odpowiedziała nie bez pewnej ironii Maria. – Steven jest zmęczony i znudzony pracą w redakcji, a ja odgrywaniem roli przykładowej pani domu i – tu z przepaszającym uśmiechem spojrzała na córkę –

matki. Chcemy złapać drugi oddech, odnaleźć natchnienie i pasję. Może to zabrzmie dziwnie, ale chcemy i musimy wyjechać dla wspólnego dobra: Julii i naszego.

MacAlister z nagłym zainteresowaniem zaczął przyglądać się wzorom na dywanie. „Dziwnie? A jakże! Może to zabrzmie dziwnie, ale chcemy i musimy” – zaczął przedrzeźniać w myślach słowa Marii. Dziwnie... Cóż za eufemizm! Nie mógł spojrzeć na żadne z nich, bo bał się, że zacznie kłać głośno i soczyście, a nie chciał tego robić przy tym już wystarczająco przestraszonym dziecku. Te ich zbolące miny, napuszone słowa i twarze pełne nadziei! Liczyli na niego. No pewnie! A kto inny dałby się wrobić w coś takiego? Komu innemu ci rodzice od siedmiu boleści mogliby podrzucić swoją córkę niczym kukułcze jajo? „Boże! Po co oni w ogóle sprawili sobie dziecko, skoro już po czterech latach są nim znużeni? I dlaczego ja mam teraz przyjmować na siebie cudze obowiązki, cudzą odpowiedzialność? Z jakiej racji mam brać na swoje barki cudze brzemie rodzicielstwa, skoro sam nigdy nie chciałem być ojcem?”.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, podszedł do stojącej pod oknem Julii i położył jej ręce na ramionach. Stał przy bratanicy, którą dopiero co poznał, jakby chciał jej bronić. Przed kim? Przed rodzicami, którzy postanowili ją opuścić nie wiedząc w jakim celu i na jak długo? Czy przed samym sobą, skoro już właściwie podjął decyzję – słuszną czy niesłuszną, ale jedyną możliwą w tej sytuacji. Był starym kawalerem z wyboru i zamiłowania. Do szczęścia w zupełności wystarczały mu praca i szklaneczka whisky od czasu do czasu, i naprawdę do niczego nie były mu potrzebne drobne, ciche dziewczynki z dużymi, poważnymi oczami. Ale zdecydował się, choć wiedział, że tego pożałuje i że nie nadaje się na ojca, nawet zastępczego. To dziecko właściwie będzie musiało wychowywać się samo, schodząc mu z drogi i tolerując jego zmienne nastroje oraz złośliwe usposobienie.

– Możliwe, że jestem trochę samotny i możliwe, powtarzam: możliwe, że przyda mi się jakaś odmiana. – Doktor postanowił się poddać, jednak nie bez walki.

– Wspaniale! Wiedzieliśmy, że to doskonały pomysł! – podchwyciła Maria i nie pozwoliła mu już dojść do słowa.

W ciągu godziny w jego holu wylądowały trzy niewielkie walizki, sprany miś, lalka i jedna mała dziewczynka. Kiedy Steven i Maria odjeżdżali, machając radośnie na pożegnanie, świeżo upieczony stryj spojrzał z powagą i pewnym zmieszaniem na szczupłą twarzyczkę bratanicy.

– Od tej pory to jest twój dom – powiedział i wskazał ręką za siebie.

– Dobrze – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Michael C. Blackwell czuł się trochę niepewnie; niezupełnie dlatego, że po tygodniu spędzonym w nowej szkole nie wiedział o niej wiele więcej niż na początku swojego pobytu tutaj. To nie martwiło go prawie wcale, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie minie miesiąc, a dotrą razem z bratem do każdego miejsca w tej szkole, do którego można dotrzeć, i poznają każdego, kogo warto poznać. To nie nowa szkoła była źródłem prawdziwego niepokoju Mike'a. W całym swoim dziewięcioletnim życiu nigdy nie czuł się taki samotny, jak przez ten pierwszy tydzień w szkole imienia wielebnego Williama Hancocka. Prawdę mówiąc, nigdy nie czuł się samotny, bo zawsze i wszędzie towarzyszył mu brat bliźniak. Niestety pod koniec wakacji Benjamin J. Blackwell złamał nogę, mało szczęśliwie spadając z drzewa, którego jedyną zaletą była tajemnicza dziupla znajdująca się dwa i pół metra nad ziemią. Oprócz tego miało ono same wady: prosty gruby pień, który trudno było objąć, żadnych gałęzi, których można by się złapać, zupełny brak opadłych liści, które uczyniłyby bardziej miękkim lądowanie na wystających korzeniach; a do tego wszystkiego w pobliżu owego feralnego drzewa znajdował się usłużny brat, który nie dość, że namówił

„starszego” bliźniaka na szukanie skarbu piratów w dębie rosnącym w samym środku rodowej posiadłości Blackwellów, to jeszcze z dużym samozaparciem go do owej pechowej dziupli podsadzał.

Dlatego oprócz samotności dręczyło Mike’a poczucie winy. Ben cierpiał bardziej od niego – też był sam, ale na dokładkę miał jeszcze nogę w gipsie. Postanawiając zemścić się za siebie i za brata na wszystkich dębach w okolicy, wycinał właśnie swoje inicjały na sędziwym drzewie, kiedy usłyszał przybliżające się głosy. Szybko schował się za pień i przywarł do niego. Nie był tchórzem i nie unikał bójek, choć preferował raczej negocjacje, ale tej nadchodzącej piątki po prostu się bał, zwłaszcza że nie było przy nim Bena. Nadchodzący chłopcy mieli od trzynastu do szesnastu lat i pochodzili z bardzo bogatych rodzin. Co prawda szkoła Hancocka była tylko dla bogaczy, ale ci...? Chyba już jako niemowlęta wiedzieli, że mają pieniądze, duże pieniądze, i uważali, że to daje im specjalne prawa oraz władzę nad tymi, którzy mają ich nieco mniej. Należeli do tych, których nie tyle warto, co trzeba poznać – aby potem skutecznie unikać.

– Ten Prayton mnie wkurza – wysyczał Ruben Giligan (Ruben syczał, a nie mówił, co na dłuższą metę było bardzo denerwujące). – Co on sobie wyobraża? Że niby kim jest? – Wściekał się, przez co syczał jeszcze bardziej. – Nie możemy pozwolić, żeby ignorował nas taki szczeniak jak on.

– Przymknij się – skwitował jego słowa zwalisty Greg Kolinsky. – Gdyby nam się narzucał albo trząsał przed nami portkami, nie byłby nawet w połowie tak interesujący, jak jest teraz. Z takimi twardzielami to jest dopiero zabawa! – wycedził ze złośliwym uśmieszkiem, wolno uderzając prawą pięścią w otwartą lewą dłoń i kręcąc nią na boki, jakby rozgniatał robaka.

– Nie wiem, czemu robicie wokół niego tyle szumu – modulowanym głosem powiedział William Balimore IV. – Wiem, że jego rodzina zajmuje wysoką pozycję,

ale ten Prayton zachowuje się jak nieokrzesany prostak, jeszcze gorzej niż Kolinsky, choć wydaje się to prawie niemożliwe. – Spojrzał na Grega i skrzywił się z niesmakiem, równocześnie uskakując w bok, by uniknąć zamaszystej sójki.

– W gruncie rzeczy trudno mu się dziwić – stwierdził Simon de Vini z ledwie zauważalnym francuskim akcentem. Za to nie można było nie zauważyć jego wysokiej, patykowatej sylwetki i długich włosów gładko zaczesanych do tyłu. – Jego ojciec zmarł zaledwie miesiąc temu i niełatwo mu o tym zapomnieć, tym bardziej że na każdym kroku mu się przypomina, jak wiele go czeka pracy, ile wysiłku będzie go kosztować okazanie się godnym swego ojca, i tak dalej, tym podobne gadki.

– Bzdury! – prychnął nordycki w każdym calu, poczynając od jasnych włosów, niebieskich oczu i dumnego profilu, a kończąc na sztywnej, wręcz wojskowej postawie i czubkach wypolerowanych na wysoki połysk butów, Herman von Stick. – Mój wuj twierdzi, że kiedyś prowadzić interesy ze starym Praytonem to było wyzwanie i przyjemność. Ale od kiedy poznał, a potem co gorsza ożenił się z tą... tą Hiszpanką...

– Pamelą Diaz – usłużnie podsunął mu William, obeznany jak nikt w temacie Who is Who. Jego okulary w drucianej oprawce, które akurat zdjął z długiego nosa i z namaszczeniem zaczął przecierać irchą, przywodziły na myśl monokl dziewiętnastowiecznego angielskiego arystokraty.

– No właśnie. Nie dość, że Hiszpanka, to jeszcze trzydzieści lat od niego młodsza... – Wyczuwało się wyraźny niesmak w twardym głosie Hermana. – Wuj mówił, że z zażenowaniem przyglądał się, jak mężczyzna pokroju Johna Praytona, stary wyga biznesu, który w interesach był jak żołnierskie buty: twardy i nie do zdarcia, zamieniał się powoli w żalostnego starca, którego jedynym zajęciem stało się zabawianie i pilnowanie swojej młodej żony.

– Przecież o to mi chodziło – wtrącił Simon. – Każdy mógłby się wściec, gdyby kazano mu naśladować kogoś, kto okazał się zwykłym mięczakiem. Kenneth nie jest idiotą, na pewno doskonale wiedział, co się dzieje w jego własnym domu. W końcu wylądował tutaj w kilka dni po pogrzebie, a...

– ...a jego matka po kilkudniowej żałobie i pozbyciu się nastoletniego syna, który z pewnością nie ujmował jej lat, wyjechała z kochankiem do Las Vegas, żeby przepuszczać to, co dostała po kochanym mężu – wyręczył Simona pogardliwym sykiem Ruben.

– Zero dyskrecji, zero strategii, zero klasy; przepuści wszystko w szybkim tempie i z wielkim hukiem, a adwokaci młodego Praytona nie dopuszczą jej na kilometr do majątku syna, za jego zresztą zgodą i błogosławieństwem – podsumował William.

Mike był zaszokowany tym, co usłyszał. Skąd oni brali te wszystkie przerażające informacje? Naprawdę zaczynał wierzyć, że grupa Jeffersona wie i może wszystko. Doskonale wiedział, o kim mówili. Trudno byłoby nie zauważyć Kennetha Praytona – mrukliwego, ponurego chłopca, który każdą rozmowę kończył wzruszeniem ramion, a na bardziej dociekliwe pytania odpowiadał upartym milczeniem. Nigdy się nie uśmiechał. Był agresywny i nieprzystępny, zbuntowany i... samotny. Samotny? Tak. Nagle Mike, czy to pod wpływem jakiejś niezwyklej intuicji, czy też własnej, świeżo doświadczonej samotności zrozumiał, iż młody Prayton jest najbardziej samotną osobą, jaką kiedykolwiek poznał w swoim życiu.

Jego rozmyślania przerwał głos najstarszego i najwyższego chłopca, Samuela Jeffersona. Mike wstrzymał oddech i zastygł w bezruchu – Sam był przecież przywódcą całej grupy.

– Teraz już chyba wiecie, czemu tak nas interesuje Prayton – stwierdził beznamiętnie Sam. – Przeszedł twardą szkołę i się nie załamał. Aż dziw bierze, bo to w końcu taki smarkacz. Jedenaście lat, kto by pomyślał... – Zmarszczył brwi, wyraż-

nie się nad czymś zastanawiając. – Za parę lat mógłby się stać naprawdę groźny. Dlatego musimy go trochę okiełznać, a wtedy będzie dla nas cennym nabytkiem.

– A jak nie? – mruknął nieco złowieszczo Kolinsky.

– To pożałuje, że się w ogóle urodził. Łamaliśmy nie takich jak on – z absolutną pewnością zakończył rozmowę Jefferson, chłopiec, o którego ojcu mówiono, że jest bogaty jak Krezus i bezlitosny jak przywódca Hunów, Attyła.

Mike poczekał, aż trochę odejdą, i pobiegł w przeciwną stronę. Chciał ostrzec Praytona, choć wiedział, że i tak nie na wiele się to zda. Wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji Kennetha z tą piątką i mógł mieć tylko nadzieję, że Prayton okaże się silniejszy, niż ktokolwiek przypuszczał.

ROZDZIAŁ 1

Dom stryja Claya trzeszczał. Trzeszczał na mróz, na wiatr, na deszcz albo też zupełnie bez powodu. To było zdecydowanie przyjazne trzeszczenie – w każdym razie Julia za takie je uważała. Dobrze pamiętała, gdy po raz pierwszy – i jak się później okazało ostatni – wsunęła się w nocy do gabinetu stryja, ciągnąc za sobą jasiek i wysłużonego misia z wytartym futerkiem i uchem przyszytym czerwonym kordonkiem, bo tylko taki udało jej się znaleźć. Wyglądało na to, że przed snem doktor postanowił trochę poczytać, racząc się przy okazji lampką koniaku. Julia była nieduża, weszła cichutko i stanęła w cieniu, nic więc dziwnego, że mężczyzna jej nie zauważył.

– Stryjku... – wyszeptała. MacAlister nawet nie drgnął.

– Stryjku! – pisnęła nieco głośniejszym głosem, a kiedy uniósł głowę i marszcząc brwi, spojrział na nią z niepokojem, puściła się biegiem, upuszczając poduszkę, by tym mocniej przycisnąć misia, i szybko wdrapała mu się na kolana. Nieco przestraszony, doktor szybko odłożył książkę i odstawił kieliszek.

– Hej, maleńka! Co się stało? Nie możesz zasnąć? – Usadowił ją wygodniej, przycisnął do siebie i delikatnie pogłaskał po głowie. „Do diabła! – pomyślał. – Wiedziałem, że tak będzie. Jest ze mną już tydzień, a jeszcze nie zapytała o rodziców. To oczywiste, że za nimi tęskni. Zacznie mnie teraz pytać, gdzie są, kiedy wrócą... Boże! Co ja jej powiem?!”. Było jasne, że powszechnie znany i szanowany profesor psychiatrii Clay MacAlister gdyby tylko mógł, po prostu zastrzeliłby swojego brata Stevena i jego znudzoną żonę za ten ich egoizm wielki niczym Himalaje.

Chociaż w środku aż się gotował ze złości i niepokoju, do bratanicy zwrócił się najczulej jak potrafił.

– Kochanie, jeżeli będziesz mi tak mrużyć w koszulę, to tylko ona się dowie, co cię gnębi. Podnieś swoją śliczną główkę, o, właśnie tak, i powiedz staremu stryj-kowi, co się stało.

„Przynajmniej nie płacz” – pomyślał z ulgą.

Julia odetchnęła głęboko, jakby podejmowała bardzo trudną decyzję i spojrzała na niego z powagą malującą się w zielonych oczach.

– Stryjku Clayu – zaczęła. – Wiesz, że obiecałam nie sprawiać ci kłopotu, ale mam duży problem. Naprawdę – zapewniła go gorąco. – Nie oszukuję. I dlatego właśnie musiałam przyjść do ciebie. W nocy – dodała, żeby już wszystko było jasne.

– Oczywiście, Julio, wierzę ci. – MacAlister przybrał taki sam poważny ton jak dziewczynka. Pojął, że nie przyszła do niego, by się nad nią roztkliwiać, ale by jej wysłuchał i spróbował zrozumieć. – A ty wiesz dobrze, że możesz na mnie liczyć o każdej porze dnia i nocy. Jesteśmy rodziną. I przyjaciółmi – dodał, żeby już wszystko było jasne.

Julia uśmiechnęła się leciutko i w wyraźny sposób się odprężyła.

– Boimy się – wyznała, a MacAlister, czując nagłą suchość w gardle, sięgnął po kieliszek. – To znaczy ja i Misiek – wyjaśniła. – Leżeliśmy sobie w naszym nowym łóżku, w naszym nowym pokoju i już mieliśmy zasnąć, kiedy te wszystkie potwory przyszły nas odwiedzić. – Doktor zakrztusił się koniakiem i gwałtownie zakaszłał.

„A więc to tylko potwory ją martwią. – Poczul taką ulgę, jakby ktoś zdjął mu z ramion stukilogramowy ciężar. – Z potworami poradzę sobie jedną ręką, gorzej by było z nieodpowiedzialnymi rodzicami” – pomyślał, łapiąc wreszcie oddech.

Julia, której przerwał kaszel stryja, kontynuowała.

– Tak właściwie to my się nie boimy, no... może troszeczkę – przyznała z namysłem. – Ale to tylko dlatego, że ich nie znamy. To są zupełnie nowe potwory i one też nas nie znają. Więc przyszły nas poznać i strasznie chroboczą i trzeszczą, a my chcemy spać i w tym hałasie zupełnie nie możemy. Dlatego, stryjku – spojrzała na niego błagalnie – bardzo cię prosimy: chodź z nami i powiedz tym potworom, żeby przyszły jutro rano, a ty nas sobie wtedy przedstawisz i już nie będą musiały przy-

chodzić do nas w nocy, bo w nocy się śpi, a nie straszy – skończyła i patrzyła na niego wyczekująco.

MacAlister z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu. Gdzieś w połowie tych wyjaśnień zupełnie się pogubił i nie wiedział już, kto kogo nie poznał, kto kogo straszy i dlaczego. Jednak rozumiał, że dla Julii jest to poważny problem i nie wolno mu go zlekceważyć.

– Posłuchaj mnie, maleńka. Strachów nie ma – stwierdził stanowczo.

– Mama też tak mówiła... – odpowiedziała zrezygnowanym tonem, a jej wiara w możliwości stryja wyraźnie osłabła.

– Nie powiedziałem, że w ogóle nie ma potworów. – Mężczyzna objął czułym spojrzeniem drobną figurkę skuloną na swoich kolanach i odgarnął kosmyk jasnych włosów z zafrasowanego czoła dziecka. – Miałem na myśli, że nie ma ich w tym domu.

Dziewczynka drgnęła, ale nadal popatrywała na niego z niedowierzaniem.

– To co tak trzeszczy? – zapytała niepewnie.

– Sama zobaczysz, a raczej usłyszysz – odpowiedział tajemniczo. – Zaniosę cię do sypialni, a ty zamknij oczy i słuchaj. – Wstał ostrożnie z fotela i trzymając Julię na rękach, skierował się do drzwi, podnosząc po drodze jasiek.

– Zamknij oczy, Misiu. Jak ty zamkniesz, to ja też – doleciał do niego stłumiony szept.

– Jesteś gotowa? – Dziewczynka tylko kiwnęła głową. – No to idziemy.

Na początku Julia tak mocno zaciskała powieki, że na niczym innym nie mogła się skupić, ale stopniowo rozluźniała się – w ramionach stryja było jej ciepło i czuła się bezpiecznie. Usłyszała skrzypnięcie, a potem cichy szelest. „To drzwi przesuwają się po dywanie w gabinecie stryjka” – pomyślała. Potem, kiedy krokom mężczyzny towarzyszyły rytmiczne trzaski, dziewczynka domyśliła się, że to drewniana podłoga

w przedpokoju. Poznała też, gdy mijali odnogę korytarza prowadzącą do kuchni – poczuła smakowity zapach świeżo upieczonych ciastek i usłyszała zrzędzenie gospodyni Anny, wyrzekającej na kota, który znów dobrał się do stojącej na oknie śmietanki. Najgłośniejsze jednak były schody: skrzypiały, trzeszczały, dudniły – każdy stopień wydawał inny dźwięk. Na koniec usłyszała jeszcze zgrzyt zacinającego się zawiasu przy drzwiach jej sypialni i jęk sprężyn, gdy stryj położył ją na łóżku.

– Słuchałaś? – zapytał MacAlister, otulając Julię kołdrą.

– Tak – odpowiedziała cichutko, nadal wsłuchując się w pełną odgłosów ciszę dookoła.

– To stary dom – mówił doktor jakby do siebie. – W tych drewnianych schodach i podłogach, w wysokich oknach i drzwiach z kolorowymi szybkami jest coś... może dusza. Ale to przyjazna dusza – ciepła, przestronna, wygodna i gadatliwa. Bo to dom do ciebie mówi, a najlepiej rozmawia się z nim właśnie nocą. Te wszystkie trzaski, zgrzyty, jęki i zawodzenia to pozdrowienie, jakie przesyła ci mój, a teraz także twój dom.

Od tej pory Julia często słuchała trzeszczącej kołysanki starego domu, która uspokajała ją i odpędzała koszmary. A kiedy skończyła dziesięć lat, tylko skrzypiący głos starego domu potrafił przegonić z jej snów obraz rozpędzonego samochodu mknącego ku przepaści, w której zginęli jej rodzice.

Julia otrząsnęła się ze wspomnień i spojrzała na stryja, który był właśnie w trakcie swojej cotygodniowej pogadanki pod tytułem: „Julio, co ty robisz ze swoim życiem?”. Niewiele się zmienił przez te dwadzieścia lat, odkąd z nim zamieszkała. Włosy mu się przerzedziły i posiwiały, brzuch zaokrąglił, a on sam trochę jakby zmalał, ale nadal był tym samym zrzędlwym, nieznośnym stryjaszkiem, którego pokochała.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! – powiedział ze złością i wymierzył w nią oskarżycielsko palec.

– Nie. W ogóle – odpowiedziała, a jej zazwyczaj poważną twarz rozjaśnił uśmiech. – Ale i tak wiem, co masz mi do powiedzenia.

– Doprawdy? To ciekawe, skoro mnie nigdy nie słuchasz. Zwyczajnie mnie lekceważysz. To, to...! – zaperzył się.

– Stryju – przerwała mu Julia i pokręciła głową z ubolewaniem. – Od kiedy się wyprowadziłam, przychodzę do ciebie co niedziela i co niedziela jemy razem obiad, podczas którego wysłuchuję tradycyjnego kazania na ten sam temat. – Julia podniosła zamkniętą dłoń i zaczęła wyliczać, po kolei odginając palce. – Po pierwsze, że latka lecą, a ja nie staję się coraz młodsza; po drugie, że to już najwyższy czas, abym wreszcie znalazła jakiegoś kawalera, który się ze mną ożeni i da mi gromadkę dzieci; a po trzecie – najważniejsze – że nigdy nikt mnie nie zechce, jeżeli będę taka nudna, nadęta, sztywna i nieciekawa. Czy to już wszystko? Chyba o niczym nie zapomniałam? – zapytała Julia z nutą zniecierpliwienia w głosie.

– A więc jednak czasem słuchasz, co do ciebie mówię – stwierdził MacAlister z pewnym zmieszaniem, które jednak szybko przerodziło się w rozdrażnienie. – Ale nigdy nie mówiłem, moja panno, że jesteś nudna, nadęta czy nieciekawa! To są wierutne bzdury, które sama sobie wmawiasz, by móc ze spokojnym sumieniem użalać się nad sobą, kiedy w nie wreszcie uwierzysz. Bzdury! Zwyczajne brednie! Ot co! – wyskandował i manifestacyjnie otarł usta serwetką, jakby tym gestem chciał uciąć wszelkie dalsze dyskusje. – Przez ciebie straciłem apetyt. – Odsunął talerz i wyciągnął w jej stronę pusty kieliszek. – I muszę się napić, żeby w ogóle przełknąć te wszystkie absurdalne oskarżenia, którymi mnie częstujesz.

Patrząc, jak spokojnie i bez słowa Julia wstała i naląła mu po same brzegi jego ulubionego Rieslinga, wiedział, że nie dała się nabrać na ten wyreżyserowany wy-

buch. Poznał to po jej minie – lekko skrzywionym uśmiechu, który na upartego można by nazwać ironicznym i oczywistym powątpiewaniem, które zastąpiło nieklamane zdumienie, jakie na początku pojawiło się w jej spojrzeniu. Kiedy już usiadła na swoim miejscu i ciągle milcząc, zaczęła bezmyślnie gonić widelcem ziarnko zielonego groszku po całym talerzu, poddał się.

– No, dobrze! Przyznaję – uniósł do góry ręce na znak poddania – być może powiedziałem kiedyś, że jak na swój wiek jesteś zbyt poważna, zbyt... – zająknął się.

– ...zbyt sztywna – podsunęła niewinnie Julia, korzystając z okazji.

– A tak! Właśnie tak! Żebyś wiedziała! Masz dwadzieścia cztery lata, a zachowujesz się jak stara panna i ubierasz niczym mniszka. Nawet święty by z tobą nie wytrzymał! – Stryj zdenerwował się nie na żarty. – Nigdzie nie wychodzisz, z nikim się nie spotykasz. Jesteś młoda, ładna, a wieje od ciebie chłodem jak od jakiejś góry lodowej. Największym komplementem, jakim może obdarzyć cię mężczyzna, to stwierdzenie, że jesteś miła albo uprzejma. Ale nienaganne maniery i zdawkowy uśmiech to nie wszystko. Gdzie w twoim życiu miejsce na zabawę, flirty, randki, na coś innego prócz książek i pracy? – Przerwał, by wstać i zaczerpnąć oddechu.

– Mówisz zupełnie jak Sunny – mruknęła Julia pod nosem i rzuciła stryjowi ukradkowe spojrzenie spod rzęs, mając nadzieję, że już skończył.

– Przynajmniej raz ta twoja zwariowana przyjaciółka powiedziała coś mądrego – prychnął i zaczął nerwowo chodzić po jadalni; zawsze w ten sposób rozładowywał emocje. – Nie rozumiem! Zupełnie cię nie rozumiem! – krzyczał, wymachując rękami. – Przecież najlepsze, co może spotkać kobietę, to mąż i tuzin dzieciaków. A ty? Co ty robisz w tym celu? Zamykasz się w domu z takim starcem jak ja i ze stosem książek albo gnasz do tej swojej galerii, z której nawet nosa nie wytkniesz na prawdziwy świat. Czy twoja przyjaciółka nie może ci pomóc dorosnąć, skoro ja w tej

kwestii zawiodłem? O co tu chodzi? Czy chcesz na stare lata zostać taką nieznośną zrzędą jak ja?

– No właśnie, stryjku! – zaatakowała Julia, mając już dość zarówno pytań, jak i staroświeckich poglądów stryja. – A ty?! Czemu ty nigdy się nie ożeniłeś, nie założyłeś rodziny, czemu wybrałeś samotność?

– Nie jestem samotny – obruszył się mężczyzna. – Mam ciebie.

– A ja ciebie – odparowała Julia. – Wiesz, że nie o to chodzi. Zarzucasz mi, że się z nikim nie związałam, tak jakby kandydata do ręki można było znaleźć na ulicy, a sam co? – wytknęła mu dziewczyna.

– Z mężczyznami jest inaczej – stwierdził i westchnął ciężko, nie mogąc uwierzyć, że musi wyjaśniać rzeczy tak oczywiste. – To kobiety od zarania dziejów gotowe były zrobić wszystko, żeby wyjść za mąż: kusily, nęciły, uwodziły i usidlały delikwenta, który wpadł im w oko. Mężczyzna ma głowę zajęętą czymś innym: polityką, zdobywaniem majątku, zaspokajaniem ambicji, wojaczką czy też seksem. – W tym miejscu MacAlister znacząco chrząknął, ale kontynuował dalej suchym, akademickim tonem, jakby prowadził wykład: – Dopiero odpowiednia kobieta może go skłonić do małżeństwa, przekonać, że rodzina jest właśnie tym, czego najbardziej potrzebuje. I tak, zanim facet się obejrzy, jest usidlony i zaobrączkowany.

Kiedy Julia pozwoliła sobie na ironiczne: „Co ty powiesz?”, spojrzał na nią jak na wyjątkowo tępego studenta i wyznał grobowym głosem:

– A wracając do mnie, to widocznie żadnej kobiecie nie wpadłem na tyle głęboko w oko, żeby chciała się trudzić zdobywaniem mnie. To wszystko – zakończył z udawanym żalem.

Julia słuchała tego przemówienia z mieszanymi uczuciami, ale w końcu nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Mój ty biedaku – powiedziała, podchodząc do stryja. – Nie poznały się na tobie. – Pokiwała głową ze współczuciem i przytuliła się do niego. – Musisz im wybaczyć, nie wiedziały, co tracą. – Oparła czoło o jego pierś i już otwarcie chichotała w jasne płótno wykrochmalonej koszuli. – Biedny stryjasek!

– No, już dobrze, dobrze. Przestań się ze mnie nabijać. – MacAlister odsunął się od niej ostentacyjnie. – Jestem starym człowiekiem, a do tego twoim stryjem, więc powinnaś okazywać mi większy szacunek. Porozmawiajmy lepiej o twojej wizycie u lekarza. Byłaś? – zapytał tonem towarzyskiej pogawędki.

– Tak – odparła krótko. Powinna się już właściwie przyzwyczać do tych psychologicznych sztuczek stosowanych przez stryja: nagłych zwrotów w rozmowie i rozprawiania z zupełną otwartością o sprawach powszechnie uznawanych za tematy tabu. Już jako pięciolatka dawno nie wierzyła w bociany i doskonale zdawała sobie sprawę z różnic w budowie kobiety i mężczyzny. Mając dziesięć lat, była najlepiej uświadomionym dzieckiem w szkole, a jako piętnastolatka wiedziała stanowczo za dużo o chorobach wenerycznych, AIDS i najróżniejszych zboczeniach seksualnych. Ale nawet ona czuła się trochę nieswojo, rozprawiając z własnym stryjem o swoich wizytach u ginekologa.

– No i co powiedział? Jak wypadły twoje badania? Wyniki są w porządku, czy to jednak coś poważniejszego? – zasypał ją gradem niespokojnych pytań. – No co, замуrowało cię?! Czemu nic nie mówisz?

Julia zdała sobie sprawę, że nie pora na fałszywą skromność, zresztą MacAlister też był w końcu lekarzem.

– Ogólnie rzecz biorąc, wszystko jest w porządku – uspokoiła stryja.

– Ogólnie?! A w szczegółach? Nie możesz być bardziej konkretna? – Doktor nie wyglądał na specjalnie uspokojonego.

– Cytologia jest w porządku, a to najważniejsze, ale mam jakieś drobne cysty, guzy czy coś takiego. To nic groźnego, ale muszę, najlepiej co trzy miesiące, robić nowe badanie, żeby sprawdzać, czy nic się nie zmienia. Zapisał mi też pigułki na uregulowanie miesiączki i umówił się ze mną na kolejną wizytę – wyrecytowała jednym tchem.

– To świetnie. Czy jeszcze coś? – zapytał, widząc wahanie na twarzy Julii.

– Poza tym stwierdził... – urwała, spoglądając niepewnie na stryja. Ale skoro powiedziała już tyle, może powiedzieć i to. – Stwierdził, że w moim wieku na takie problemy najlepsza jest... najlepsza jest ciąża.

– Co?! – Naprawdę udało jej się zaskoczyć stryja. – A niech go! – krzyknął. – Lubię tego faceta! A to dobre! Ciąża! – Cieszył się jak dziecko. – Chodź, niech cię uścisnę! – Znowu znalazła się w jego objęciach. – Widzisz, nawet twoje ciało się buntuje – szepnął jej do ucha. – Czego ty się tak naprawdę boisz, Julio?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że dziewczyna gwałtownie zeszywniała. Myślała, że stryj już skończył na dzisiaj z poważnymi rozmowami. Próbowала się odsunąć, ale MacAlister jej na to nie pozwolił – mocniej złapał ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy. Już nie żartował, był wyraźnie zmartwiony.

– Czego się boisz? – powtórzył. – Jakie potwory straszą cię teraz, kiedy nie jesteś już małą dziewczynką? Co chowa się pod twoim łóżkiem i nie pozwala zasnąć? – dociekał łagodnie, ale Julia zamknęła oczy i odwróciła głowę. Bała się, że stryj wyczyta z jej twarzy odpowiedź, której sama nie знаła, a może raczej nie chciała poznać. Delikatnie uwolniła się z jego objęć i podeszła do okna. Musiała się uspokoić. Mężczyzna za jej plecami podjął przerwana wędrowkę wokół stołu. Wiedziała, że odezwał się w nim psychiatra. Był teraz jak pies myśliwski, który złapał trop i nie ma zamiaru z niego zrezygnować. Zacisnęła palce na parapecie i prawie nie mrugając

powiekami, patrzyła na park. Był stary, cichy i taki piękny, tą spokojną, ciepłozłotą urodą wczesnej jesieni.

– To moja wina – dotarł do niej głos z bardzo daleka. – Wiedziałem, że nie nadaję się na ojca. To przeze mnie jesteś taka zamknięta w sobie, poważna... – Czemu ten głos był taki smutny?

– Nie, to nie twoja wina – przerwał mu inny, młodszy głos, który także dobiegał z daleka. – Może ja po prostu taka już jestem. Nie szukajmy na siłę przyczyn. – Młody głos umilkł. Po drugiej stronie ulicy przykucnął zapomniany plac zabaw, na którym dawno temu bawiły się dzieci podobne do dziewczynki, jaką kiedyś była. Kolorowe liście przysypały piaskownicę i usiadły na opuszczonych huśtawkach.

– Nie, nie! Musiałem popełnić jakiś błąd, że aż tak odgrodziłaś się od innych. Nie rozumiem... Dlaczego? A powiedz mi, co to było z tym młodym Trevorem? – Uparty odległy głos nie dawał jej spokoju. Dręczył, zagrażał i zbliżał się nieuchronnie do granicy, której ona sama nie przekraczała. Nigdy. Prawie nigdy... Tylko dwa razy odważyła się przejść na drugą stronę tej cienkiej ostrzegawczej linii, która tkwiła ukryta głęboko w niej, i potem gorzko tego żałowała. Tam – po drugiej stronie – była ufna, szczerą, otwarta na świat i... na ból, który ten świat ze sobą przynosił. Za barierą wyniosłości, uprzejmego chłodu i ostrożności czuła się bezpieczna, może trochę samotna, ale bezpieczna.

MacAlister zwolnił kroku, w końcu przystanął. Przyglądał się Julii spod zmrużonych powiek i powolnymi okrężnymi ruchami masował pulsujące skronie. Dziewczyna czuła na sobie jego skupiony wzrok i po plecach przebiegł jej nieprzyjemny dreszcz. Nagły powiew wiatru rzucił w twarz ukrytą za szybą garść uschniętych liści. Julia drgnęła i odruchowo zamknęła oczy. Obróciła się niechętnie, choć nadal trzymała się kurczowo parapetu.

– Stryju, proszę cię, daj spokój! Nie jestem twoją pacjentką i mam nadzieję, że nigdy nią nie zostanę, więc daruj sobie. Nie chcę, żebyś rozkładał mnie tu na czynniki pierwsze, żebyś pytał, dociekał, szukał odpowiedzi! – zażądała ostrzej, niż zamierzała, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Wy tłumacz mi, bo ja sam nigdy tego nie zrozumieję, co się wydarzyło między tobą a Trevorem? Byliście dla siebie stworzeni. Oboje smukli, jasnowłosi, delikatni: jak księżę i księżniczka z bajki. Jego jednego nie zraziła twoja poza, wpatrywał się w ciebie jak w obraz, gotów spełnić każde życzenie.

Julia zacisnęła usta, obiecując sobie, że nie powie już ani słowa, ale nie wytrzymała.

– Przestań, słyszysz, przestań, mam tego dosyć! – wyrzuciła z siebie. Niestety doktor zachowywał się, jakby nagle ogłuchł.

– Bajka? – Westchnął. – Ale bez szczęśliwego końca. Pamiętam, jak przybiegł tu do mnie. Kiedy go zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wyglądał jak zbity pies. Coś ty mu takiego zrobiła? – Pokręcił głową w zdumieniu.

– Co ja mu zrobiłam?! – wycedziła, pochylając całe ciało do przodu i lekko unosząc zaciśnięte pięści. Nigdy nie była taka wściekła; miała ochotę krzyknąć, kopnąć i gryźć. Równocześnie rozumiała, że tylko dwie osoby na świecie mogły ją doprowadzić do takiej złości: stryj i Sunny; dwie najbliższe jej osoby, którym naprawdę na niej zależało i z tego właśnie powodu wtrącali się bezceremonialnie w jej życie. Nieproszeni pouczali, komenderowali i radzili. Jednak w tej chwili nie była w stanie docenić takich starań.

– Tak, co mu zrobiłaś? – MacAlister powtórzył pytanie i cofnął się bezwiednie; dopiero teraz zauważył, że Julia nie żartuje i naprawdę jest zła. Nie miał jednak zamiaru przerywać, póki wreszcie nie wyrzuci z siebie tego, co od tak dawna nie dawało mu spokoju. – Trevor prawie płakał. Jąkał się, bełkotał, przeproszał nie wiadomo

za co. Mówił, że źle go zrozumiałaś i nie dałaś szansy się wytłumaczyć. Prosił, żebym się za nim wstawił, ale ty wtedy na sam dźwięk jego imienia wychodziłaś z pokoju. Nigdy nie pojme, jak mogłaś przepuścić taką okazję. Przystojny, zdolny, a jaki ambitny... – Słyszac to, Julia aż sapnęła. – I wcale nie mówię tego tylko dlatego, że był moim asystentem. W porządku, przyznaję, może przesadziłem nieco z tymi jego zdolnościami. Trevor istotnie nie miał zbyt lotnego umysłu. Ponadto, nie ukrywajmy, był nudziarzem o ciężkim dowcipie, a czasami wyłaził z niego zwyczajny gamoń, niemniej Trevor był również jedynym jak dotąd poważnie tobą zainteresowanym mężczyzną. Nie patrz tak na mnie, moja droga. Gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie już bym tu leżał martwy, ale fakt pozostaje faktem: wystraszyłaś go. Ty straciłaś kawalera, a ja nieźle zapowiadającego się asystenta. Dlatego nie dziw się, proszę, że chcę się wreszcie dowiedzieć, co takiego mu powiedziałaś, co zrobiłaś, że...

– Co ja mu zrobiłam?! – Julia, która nie lubiła podnosić głosu, tym razem niemal wrzasnęła. – A nie pomyślałaś, że to on mi coś zrobił? Nie mów o sprawach, o których nie masz zielonego pojęcia! Powtarzam po raz ostatni: nie życzę sobie, byś kiedykolwiek przy mnie wspominał o tym człowieku. Powiem ci tylko jedno i musi ci to wystarczyć. Twój wspaniały asystent Trevor Smith okazał się wstrętnym człowiekiem, równie banalnym i pospolitym jak jego nazwisko, który dla kariery gotów był zrobić wszystko. Na nieszczęście dla niego, a na szczęście dla mnie robił to bardzo nieudolnie. – Julia dyszała ciężko jak po długim biegu.

– No, no, moja droga. Kto by pomyślał, że masz w sobie tyle ikry? – MacAlister zaśmiał się z zadowoleniem. – A więc nie wszystko stracone. Masz pazurki, tylko nie lubisz ich pokazywać. – Był tak zachwycony tym przejawem nieujawnianego do tej pory temperamentu bratanicy, że zupełnie zapomniał, co wywołało ów wybuch. – Mimo wszystko, Julio, nie ma powodu aż tak się unosić. Chciałem cię tylko lepiej

zrozumieć. Poza tym może jednak niewłaściwie oceniłaś Trevora. Pracowałem z nim i chyba wiem najlepiej, jakim człowiekiem...

Julia poczuła się jak balon, z którego uszło całe powietrze. Obrzuciła stryja zrezygnowanym spojrzeniem, zdjęła torebkę z oparcia krzesła i nie mówiąc ani słowa, wyszła, pozwalając sobie tylko na mało delikatne zamknięcie drzwi.

MacAlister wstrzymywał oddech, dopóki nie usłyszał pełnego zalu trzaśnięcia drzwi wyjściowych. Wolno wypuścił powietrze i usiadł w fotelu – ostrożnie, jakby z obawą, że się pod nim rozpadnie.

– Jestem starym głupcem – mruknął w przestrzeń starego domu. – To mną powinna trzasnąć, a nie twoimi drzwiami. Już dobrze, dobrze, przestań mi trzeszczeć nad głową. Przykro mi, że musisz cierpieć za moje grzechy. Chociaż mnie też się dostało; Julia naprawdę się wściekła. No cóż, gdy ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy, niech się nie dziwi, że mu go przytną. A ty przestań jęczeć, bo uszczelnię ci wszystkie okna! Ja też się o nią martwię i dlatego to wszystko robię. Nie przejmuj się, przejdzie jej. A jak się uspokoi, to napuścimy na nią Sunny. Trzeba wreszcie wyrwać Julię z tego odrętwienia, z tego dobrowolnego aresztu domowego. W końcu wiem, co jest dla niej najlepsze – to, co dla każdej kobiety – mąż i dzieci. Jak nikt inny jest warta miłości, a i sama ma tyle do zaofiarowania. Gdyby tylko zdobyła się na odwagę...

„Boże, gdzie ja jestem? Jak się stąd wydostać? – Prayton z niedowierzaniem przyglądał się starym domom stojącym wzdłuż ulicy, którą jechał. Miał wrażenie, że nagle przeniósł się wraz ze swoim szarym mercedesem prosto w dziewiętnasty wiek. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle zza rogu wyłonił się dżentelmen w cylindrze i z laseczką”.

Ale na jego nieszczęście w pobliżu nie było nikogo – nawet zjawy z przeszłości, która mogłaby mu wskazać drogę. Trafił tu przez przypadek, a teraz jechał powoli, uważnie rozglądając się dookoła i próbując znaleźć wyjście z labiryntu wąskich brukowanych uliczek. „To wszystko przez Melissę!” – pomyślał i poczuł, jak rozdrażnienie, które już prawie zniknęło, zanim znalazł się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku, powraca ze zdwojoną siłą. Czemu kobiety muszą być takie zachłanne? Dasz im palec, to wezmą całą rękę, a Melissa nie okazała się lepsza od innych. Zaczęły się pytania, aluzje, żądania, w końcu łzy... Uśmiechnął się ponuro na wspomnienie jej miny, kiedy w trakcie kolejnego wywodu pełnego pretensji po prostu wystawił ją za drzwi samochodu i odjechał, nie patrząc, dokąd jedzie – byle dalej, byle szybciej. Ale w ten sposób znalazł się tutaj. Co prawda uwolnił się od Melissy, przynajmniej na jakiś czas, ale sam utkwiał w miejscu, gdzie było coś tak niesamowitego jak bruk na ulicy! Rozejrzał się i potrząsnął głową w zamyśleniu. Miejsce to miało jednak jakiś niezaprzeczalny urok. Wszystko tu wydawało się stare, a raczej starodawne, jakby nie z tej epoki. Domy wyglądały na nieco podniszczone, ale wciąż były dobrze utrzymane i otoczone zadbanymi ogródkami. Chodniki zaś były prawie tak szerokie jak jezdnie – nawet jemu wydało się oczywiste, że ludzie tutaj przede wszystkim spacerują. Zamiast typowych lamp ulicznych stały latarnie, a w parku pełnym sędziwych drzew, który zastąpił domy po lewej stronie, zauważył żelazne ławki o dziwnych, powyginanych kształtach. Cała okolica tchnęła niezmaconym spokojem i ciszą, która nie przytłacza i której nie trzeba zagłuszać radiem czy głośną rozmową. Czuł się jak intruz. Prawie bezszmerową pracą silnika samochodu zakłócał panującą tu ciszę, a samą swoją obecnością naruszał spokój domów, drzew dookoła oraz niewidocznych mieszkańców. Był tu obcy. Senna atmosfera tego miejsca, która na początku mimo woli go oczarowała, teraz jeszcze bardziej pogłębiła jego irytację.

Przyspieszył, pragnąc uciec stąd jak najprędzej, ale zaraz zwolnił. Nawet gdyby chciał, nie mógł jechać szybciej po tej przeklętej kostce. Spojrzał w bok. „Plac zabaw? Tutaj?” – zdziwił się. Okolica fascynowała go i denerwowała zarazem, ale nie potrafił wyobrazić sobie tutaj dzieci. Przyglądał się jeszcze przez chwilę i już odwracał wzrok, gdy nagle kątem oka dostrzegł dziewczynę siedzącą na jednej z huśtawek. Nacisnął gwałtownie hamulec. Pisk opon wydał mu się najgłośniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał. Gdy powoli otwierał drzwi i wysiadał z samochodu, miał wrażenie, że zza firanek przyglądają mu się dziesiątki par oczu. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Stał niepewnie na chodniku, zastanawiając się, co zrobić. Nie chciał krzyknąć, poza tym... Może ona też się zgubiła? Ale kiedy przyjrzał jej się dokładnie... Nie, ona z pewnością się nie zgubiła. Była stąd. Mimo jasnej sukienki, dzięki której ją zauważył, prawie zlewała się z otoczeniem. Nie zakłócała sielskiej atmosfery, wręcz przeciwnie – dopełniała jej. Ręce schowała głęboko w kieszeniach, a głowę wtuliła w ramiona. Zapierając się stopami o ziemię, ni to stojąc, ni siedząc, wpatrywała się nieruchomo w swoje pantofle, których czubki ginęły pod dywanem rdzawo-brązowych liści. W widoczny sposób należała do tego miejsca, była częścią tego parku. Wyglądała, jakby dawno temu zapomniała zejść z huśtawki i po prostu nie zauważyła, że w tym czasie zdążyła dorosnąć.

Przynależała tu tak bardzo, jak bardzo on sam czuł się obcy. Nie tylko tu. Wszędzie. Nigdzie nie miał swojego miejsca; był bezdomny, choć nie w sensie dosłownym. Będąc właścicielem luksusowego apartamentu w City, dużej eleganckiej willi na przedmieściu, komfortowego domu letniskowego na Wybrzeżu i nawet jednej posiadłości rodzinnej, tak naprawdę nie czuł się związany z żadnym z tych miejsc – ani sercem, ani tradycją, ani miłymi wspomnieniami.

Zacisnął usta w gorzkim grymasie. „Do niezłego stanu się doprowadziłem – pomyślał. – Najnormalniej w świecie zabłądziłem, a zachowuję się jak na seansie

u psychoanalitka Melissy”. Prayton nie miał dobrego zdania o psychoanalitikach w ogóle, a psychoanalitka Melissy uważał za zwykłego szarlatana, by nie powiedzieć niebezpiecznego partacza. Wychodził z założenia, że albo masz przyjaciół zawsze gotowych cię wysłuchać, albo żaden, nawet najlepszy terapeuta nic ci nie może.

Już bez wahania wszedł na przystrzyżony trawnik; liście, jeszcze niezgrabione w porządne stopy, szeleściły w takt jego zdecydowanych kroków. Nieznajoma była tak zatopiona w myślach, że nawet kiedy stanął blisko niej, prawie na wyciągnięcie ręki, nadal nie zwracała na niego uwagi. Jego cień przykrył stopy dziewczyny.

Drgnęła i uniosła głowę. Przez moment zdawała się ciągle nieobecna, ale naraz jej twarz pobladła, a w rozszerzonych oczach pojawił się strach. Gdy spłoszona zerwała się z miejsca, zgrzyt huśtawki zabrzmiał jak wystrzał.

Kiedy Julia wyszła z domu stryja, była zbyt wzburzona, by po prostu wsiąść do swojego garbusa i pojechać do siebie. A park przyciągał jak magnes... Lubiała jesień, zwłaszcza wczesną, która łączyła w sobie nostalgię końca lata i dojrzałą radość nowej pory roku. Wrześniowe słońce było zwyczajnie ciepłe – nie tak palące jak latem, nie tak złudne jak zimą, nie tak kapryśne jak wiosną. Ominęła piaskownicę i przysiadła na huśtawce – tej ulubionej z czasów dzieciństwa. Przyglądała się drżącym plomom słońca, w których nawet opadły liść ożywał, a kasztan, wyzierający z pękniętej kolczastej łupiny, lśnił własnym rdzawym światłem.

Właściwie nie miała pretensji do stryja – troszczył się o nią na swój nieznośny sposób, a poza tym miał rację prawie we wszystkim. Mylił się tylko co do Trevora, ale nie mogła go za to winić, skoro wiedział o całej sprawie tylko tyle, ile ona sama mu powiedziała, czyli w gruncie rzeczy nic.

Dwa razy w życiu Julia pozwoliła, by uczucia wzięły w niej górę nad rozsądkiem. Raz pograżyła się w rozpaczę ponad siły dorosłego człowieka, a co dopiero dziesięcioletniego dziecka, jakim wówczas była. Za drugim razem przeżyła upokorzenie, po którym tak naprawdę nigdy nie doszła do siebie, zraniona zbyt głęboko w swoim i tak niezbyt silnym poczuciu kobiecości. Te dwa razy wystarczyły, by wybudowała mur między sobą a wszystkim, co groziło zbyt dużym zaangażowaniem. I trzeba było wyjątkowej bezceremonialności, tupetu i niewiarygodnie twardej głowy, jakie miała Sunny, aby wybić szczelinę w tym murze. A co do stryja, był przy niej za długo i zbyt blisko, aby mogła, gdyby nawet chciała, wypchnąć go poza nawias swoich uczuć.

Kiedy rodzice postanowili wyjechać, a ją zostawić u MacAlistera, nie protestowała. Obyło się bez płaczu i hysterii. Skoro wyjechali – widocznie tak musiało być. Pokochała nowy dom i stryjka Claya, polubiła gospodynię Annę i jej koty. Nauczyła się nie przejmować brakiem listów od rodziców i cieszyć z ich coraz rzadszych i krótszych wizyt. Nie zastanawiała się nad powodami, nie wracała do przeszłości. Jednak tragiczny wypadek rodziców wszystko zmienił. Nagle pojawiły się pytania, których dotąd bała się zadać, i bez ostrzeżenia zasypały ją przerażającym gradem. Dlaczego wyjechali bez niej? Czemu ją zostawili? Czy jej nie kochali? Czy rodzice w ogóle mogą nie kochać swoich dzieci?! Ale przecież jej rodzice byli tacy piękni, utalentowani... Może to ona nie zasługiwała na ich miłość? Taka nijaka, ani ładna, ani mądra. Czy to dlatego? Dlatego jej nie kochali? Czemu?! Czemu jej nie chcieli? Odczuwała stratę tym większą, cios tym silniejszy, im mniej była pewna miłości rodziców. I już nigdy nie miała poznać odpowiedzi... Budziła się w nocy z krzykiem i płaczem. Koszmar był zawsze ten sam. Stała na drodze i machała do zbliżającego się samochodu. W środku siedzieli jej rodzice. Machała, machała, ale oni ją mijali i jechali dalej. Zaczynała krzyczeć i biec za nimi. Odwracali na chwilę głowy. Wi-

działa przez tylną szybę ich uśmiechnięte twarze i uniesione w pozdrowieniu dłonie. Gdy zrozpaczona stała na środku drogi, samochód przyspieszał coraz bardziej.

– Przepaść! – wołała. – Przepaść!

Budziła się roztrzęsiona, kiedy docierał do niej stłumiony odgłos wybuchu.

Mimo ciepłego popołudnia, na wspomnienie bólu, jaki wtedy odczuwała, przeszył ją zimny dreszcz.

– Nigdy! – wyszeptała bezgłośnie, mocniej wciskając dłonie w kieszenie sukienki. – Nigdy więcej nie chcę czuć czegoś takiego.

Udało jej się pokonać rozpacz dzięki stryjowi, który dzień po dniu, noc po nocy przekonywał ją o swojej miłości. Przybiegał na każdy jej krzyk, tulił, uspokajał, tłumaczył, ale najważniejsze było, iż bez względu na to, czy się złościł, czy żartował, Julia wierzyła, gdy mówił, że ją kocha. Nadal wierzy.

Trevor Smith... Westchnęła z goryczą. MacAlister go lubił i trudno mu się dziwić. Ona sama – gdyby nie zbytnia arogancja Trevora czy też może zwyczajna głupota – już dawno byłaby jego żoną. Skuliła się niczym pod uderzeniem lodowatego wiatru; powróciło upokorzenie równie silne jak przed trzema laty. Do tej pory nie wiedziała, czy obiecujący młody lekarz specjalizujący się w psychiatrii przecenił swoje, czy też nie docenił jej możliwości. Przypuszczalnie jedno i drugie. Ale żeby również stryj dał się tak nabrać...? Jako psychiatra – i to dobry – powinien od razu odkryć prawdziwe zamiary wielce ambitnego pana Smitha. Chociaż, jak mówi przysłowie, najciemniej jest pod latarnią. Któż by podejrzewał, że jakiś młodzik, zwyczajny żółtodziób, ośmieli się zwodzić i oszukiwać taką sławę, takiego znawcę ludzkiej psychiki, za jakiego uchodził Clay MacAlister. Z drugiej strony może stryjowi tak bardzo zależało na jej zamążpójściu, że po prostu nie chciał widzieć wad i braków ewentualnego pana młodego. Trevor z kolei starał się jak mógł, by doktorowi nawet przez myśl nie przeszło, że jego młody asystent wcale nie jest takim znowu

idealnym kandydatem ani na zięcia, ani na naukowca. O tak, Trevor był bardzo sprytny. Ten jego spryt o mało jej nie zniszczył!

Kiedy się poznali, Julia naprawdę myślała, że oto spotkała swojego księcia z bajki: przystojny, wysoki, ale nie za bardzo, blondyn, z uroczym dołkiem w brodzie, o niebieskich oczach, nienaganych manierach i zniewalającym uśmiechu. Starszy od niej o siedem lat wydawał się taki dojrzały, interesujący; był szarmancki, dowcipny, usłużny – po prostu idealny. Po tygodniu znajomości uważała Trevora za miłość swojego życia. Zaczęły się nieśmiałe uściski i niezręczne pocałunki. Dla wniebowziętej Julii wszystko było takie nowe i takie słodkie, a niezdarność Trevora kładła na karb zażenowania. Nawet wtedy, kiedy stryj wpadł wściekły do jej pokoju i zaczął się awanturować, niczego nie podejrzewała. Zarzucał Julii, że to wszystko jej wina – przez nią Trevor opuszcza się w pracy i jeśli tak dalej pójdzie, nigdy nie zrobi doktoratu i skończy się na tym, że go wyleją z Instytutu.

Miała takie wyrzuty sumienia, że następnego dnia postanowiła odwiedzić Trevora w jego mieszkaniu. Co prawda nigdy u niego nie była i nie umawiali się wcześniej, ale musiała z nim porozmawiać. Dom, w którym wynajmował pokój, nie prezentował się zbyt okazale, ale znajdował się niedaleko Akademii Medycznej; poza tym Trevor dopiero zaczynał karierę, więc pewnie nie stać go było na lepsze lokum.

„Może go nie ma” – pomyślała zawiedziona, gdy jedyną reakcją na kolejny długi dzwonek do drzwi był przeraźliwy psi jazgot dobiegający z sąsiedniego mieszkania. Już miała odejść, gdy usłyszała chrobot zamka i drzwi się uchylily. Pierwszy szok przeżyła chwilę potem. Mężczyzna, który jej otworzył, w niczym nie przypominał eleganckiego, wręcz wymuskanego Trevora, jakiego znała do tej pory. Był bosy i rozczochrany. Jedną rękę trzymał na klamce, drugą oparł ciężko o ścianę, zagradzając jej drogę do środka. Miał na sobie niedopięte spodnie i rozchełstaną koszulę; niewątpliwie pijany, chwiał się – gdyby nie klamka i ściana, pewnie by się wywrócił.

– Cześć – wydusiła z siebie. Zabrzmiało to bardzo słabiutko.

– A, to ty – wymamrotał. – Czego chcesz? – Zdawał się zupełnie nie przejmować swoim wyglądem. Patrzył na nią obojętnie. Chociaż nie. Dopiero gdy Julia odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy, odkryła całą zawartą w nich wrogość. Zadrzała. Nie mogła wykrztusić ani słowa, ale czuła, że musi powiedzieć cokolwiek, choćby dlatego by się nie rozplakać.

– Ja... – Zająknęła się i głośno przełknęła ślinę. – Martwiłam się o ciebie. Stryj mówił, że masz kłopoty i że to przeze mnie. Czuję się winna i chciałam ci jakoś pomóc. Pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać, wspólnie na pewno znajdziemy jakąś radę. – Mówiła szybko, z wyraźną desperacją w głosie, bojąc się, że zanim zdąży skończyć, zamknie jej drzwi przed nosem.

– Daj spokój – burknął. – Jak widzisz, jakoś sobie radzę. Poza tym – wykonał nieokreślony gest i wskazał ręką za siebie – jestem trochę zajęty. – Patrzył na jej otwarte usta i zdumione oczy. – Nie stój tak i nie gap się na mnie! – warknął. – Odejdź! Porozmawiamy jutro, chyba musimy – stwierdził z niechęcią. – A teraz – wskazał jej brodą schody – bądź tak łaskawa i idź sobie.

Jedynym pragnieniem Julii w tym momencie było uciec stamtąd jak najdalej. Kiedy wreszcie udało jej się oderwać stopę od podłogi i z dużym wysiłkiem zrobić krok do tyłu, z wnętrza mieszkania dobiegł zniecierpliwiony damski głos:

– Trev, na miłość boską, zamknijże wreszcie te drzwi! Robisz niemiłosierny przeciąg! Jeżeli ma ci coś do powiedzenia, niech to zrobi w środku!

– Właściwie czemu nie? – Mężczyzna spojrział na Julię z krzywym uśmiechem. – Skoro tak się domagasz rozmowy, kochanie, po co odkładać ją do jutra? – W jego głosie lekceważenie mieszało się ze złośliwą uciechą. – Właź! – Odwrócił się i nie patrząc już na nią, ruszył w głąb wąskiego korytarza, po drodze przytrzymując

się jedną ręką ściany. Julia zrozumiała, co czuje małe zwierzę zahipnotyzowane wzrokiem czyhającego na nie drapieżnika. Po prostu nie mogła tam nie wejść.

– To Julia. To Stella. – Przedstawił je sobie, wskazując każdą trzymaną w ręce szklanką z nową porcją whisky.

– A więc to jest Julia – odezwała się Stella z uprzejmym zainteresowaniem. Miała na sobie tylko jedwabną bieliznę; nie trudziła się, żeby założyć leżący obok niej na łóżku szlafrok. – Wiele o tobie słyszałam... Trev lubi dużo mówić. – „Niezła gra się zapowiada – pomyślała i ułożyła się wygodniej. – Szkoda, że do jednej bramki”.

– Kim pani jest? – Raczej domyślili się, niż usłyszeli, o co zapytała.

– Moją kochanką. – Mężczyzna nie pozostawił Julii żadnych złudzeń. – A myślałaś, że kim? Siostrą miłosierdzia robiącą mi zastrzyk?!

– A my? Co z nami? Wydawało mi się... – Czują, że teraz już musi wszystko wyjaśnić, bez względu na cenę, jaką przyjdzie jej za to zapłacić.

– A co ma być?! – wrzasnął; jego irytacja rosła w miarę, jak twarz Julii robiła się coraz bledsza. – Dobrze powiedziałaś: wydawało ci się. Potrzebuję normalnej kobiety z choćby minimalnym temperamentem. A ty? Spójrz na siebie: zimna i nijaka. Oto jaka jesteś. Nie podnieca mnie ani dziewictwo, ani głupota, a trzeba być wyjątkowo naiwnym albo głupim, żeby nie przejrzeć gry, jaką prowadzę od miesiąca. Gdyby nie Stella – podszedł do przeciągającej się na łóżku kobiety i pocałował ją mocno w usta – chyba umarłbym przy tobie z nudów.

– To dlaczego... – wychrypiała – dlaczego w ogóle przychodziłeś? Nie rozumiem...

– Nie rozumiesz? No pewnie! – Cierpienie, którego nie potrafiła ukryć, sprawiało mu perwersyjną satysfakcję. Chciał być okrutny, agresją i szyderstwem pokry-

wał nieśmiało wyrzuty sumienia. – Mimo wszystko masz coś, co jest dla mnie bardzo ważne. – Julia spojrzała na niego z iskierką nadziei. – Masz stryja – dokończył bezlitośnie – który, tak się składa, jest znanym i cenionym psychiatrą. Gdybym został mężem jego ukochanej bratanicy, moja kariera, sama rozumiesz, dostałaby skrzydeł.

Julia niewidzącym wzrokiem przesuwiała po kilku zaledwie sprzętach stojących w pokoju: biurko, rozbebeszone łóżko, niedomknięta szafa, niewielki regał, z którego książki wysypywały się na podłogę; nie zauważała braku zasłon i dywanu, nie dostrzegała rozrzuconych ubrań i brudnych szklanek. Bezwiednie zaczęła się cofać, ale Trevor złapał ją brutalnie za ramię i kontynuował, jakby przerwali przyjacielską pogawędkę.

– Widzisz, umiem stwarzać pozory i robić dobre wrażenie, ale z autentycznym talentem u mnie kiepsko. Natomiast Clay MacAlister jest kimś i gdyby zechciał, wywindowałby nawet takie beztalencie jak ja. Niestety, zaczął coś podejrzewać. W końcu odkryłby prawdę, ale miałem nadzieję, że dojdzie do tego raczej później niż wcześniej, na przykład po ślubie.

Nie zważając na ewentualne siniaki, Julia wyrwała się z uścisku. Nie chciała już niczego więcej słyszeć, niczego więcej widzieć. Wybiegła, z trudem powstrzymując się od krzyku.

Nawet się nie zdziwiła, kiedy nazajutrz, po wytrzeźwieniu, Trevor próbował wszystko odkręcić. Dlaczego dała się tak nabrać? Gdy teraz się nad tym zastanawiała, nie miała wątpliwości, że Smith udawał. Przesadził. Był zbyt wspaniały, zbyt cudowny – zbyt idealny, aby mógł być prawdziwy. Ale za to bezpieczny – podpowiedział cichutki głosik. Właśnie, gdyby ten jego styl nie okazał się tylko pozą, Trevor byłby dla niej wymarzonym kandydatem – bezpiecznym kandydatem – niewymagającym, nieskomplikowanym, wyrozumiałym i przewidywalnym. Julia unikała tych silnych, ponurych mężczyzn, za którymi uganiały się inne kobiety. Bała się tych

mrocznych facetów, pełnych tajemnic i niedopowiedzeń. Ale co z tego, skoro ostatecznie zakochała się w mężczyźnie tylko z pozoru idealnym. Zaufała człowiekowi, który przez cały czas ją oszukiwał, a na koniec jeszcze okropnie upokorzył. „Może jednak ci książęta nocy nie są tacy źli” – pomyślała z ironią. Jeżeli nie spodziewasz się niczego dobrego, nic złego cię nie zdziwi ani nie rozczaruje.

Julia nie była pewna, co ją wyrwało z zamyślenia, ale wyczuła jakąś zmianę. Dopiero po chwili dotarło do niej, że słoneczne plamki na liściach wokół jej stóp zniknęły – ich miejsce zajął cień. Zaczęła powoli unosić głowę; niespiesznie sunęła wzrokiem po parze długich, eleganckich spodni z lekkiej czarnej wełny. Prawą kieszeń wypychała jedna ręka, na lewym biodrze spoczywała druga – zarejestrowała obecność srebrnego sygnetu na palcu serdecznym; zatrzymała się na chwilę, patrząc zafascynowana, jak brzuch nieznajomego, ukryty pod szarym swetrem, unosi się w rytm przyspieszonego oddechu. Wreszcie, nieświadoma jego rosnącego rozdrażnienia, spojrzała prosto w twarz intruza. „To niemożliwe!” – krzyknęła w duchu oszołomiona. A jednak. Jakby za sprawą jej niedawnych myśli zmaterializował się przed nią „książę nocy” w całej okazałości. Stał, zasłaniając jej słońce, ale mimo to widziała jego gniewne spojrzenie i nieprzyjaźnie zaciśnięte usta. Górował nad nią, groźny i posepny, a jednocześnie przystojny, w ten mroczny, niepokojący sposób. Zareagowała instynktownie. Po prostu uciekła.

– Do licha! Niech się pani zatrzyma! – Julię osadził w miejscu categoryczny ton głosu nieznajomego. – Proszę się nie bać. – Próbował ją uspokoić i opanować własne zniecierpliwienie, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Stanął tuż za nią, ale jej nie dotknął; ona ze swej strony nie uczyniła najmniejszego gestu, by się odwrócić czy choćby na niego spojrzeć. Przystanąła, gdy tego zażądał, lecz widział wyraźnie, że w każdej chwili gotowa jest znowu rzucić się do ucieczki.

– Nic pani nie zrobię. Proszę się nie obawiać. Zabłądziłem i chciałem tylko zapytać o drogę. – Pomimo szaleńczego łomotu serca, Julia zdołała dosłyszeć w jego niskim, matowo brzmiącym głosie jakąś odległą, ciepłą nutę.

– O drogę? – powtórzyła bezwiednie.

Prayton odniósł wrażenie, że się z niego nabija.

– Tak, o drogę! – Wszelkie ciepło, o ile jakieś było, zniknęło. Jego słowa wprost ociekały ironią. – Może to rzeczywiście tak trudno zrozumieć, ale nie mam najmniejszego pojęcia, jak stąd wyjechać. Pani jest pierwszą osobą, którą tu spotkałem i co? Na mój widok ucieka pani jak spłoszona łania! Proszę uwierzyć, nie gryzę. Zanim więc rozplynie się pani we mgle, proszę łaskawie mi wyjaśnić, jak się stąd wydostać.

– Wydostać? – Julia nieświadomie igrała z ogniem. Ostre przekleństwo wyrwało ją z odrętwienia.

– Czy ma pani zamiar wszystko tak za mną powtarzać? Oczekuję krótkiej, jasnej odpowiedzi! Wie pani czy nie?!

Julia zrozumiała, że jeżeli nie chce, by ten gwałtowny mężczyzna zaczął nią potrząsać, musi szybko odpowiedzieć.

– Trzeba jechać cały czas główną ulicą, park powinien pan mieć po prawej stronie...

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć... – Chciał jej przerwać, ale dziewczyna, nadal stojąc bokiem do niego, wyrzucała z siebie słowa niczym katarynka.

– Główna ulica jest trochę szersza, a kostka na niej jest nieco większa i ciemniejsza niż na pozostałych uliczkach. Proszę się tylko dobrze przyjrzeć, a na pewno pan trafi. – Ostatnie zdanie rzuciła w biegu. Jeszcze tylko jej sukienka mignęła w oddali na tle barwnego parku i już jej nie było.

– Nie zdążyłem podziękować – mruknął na pół z żalem, na pół z zadowoleniem.
– Niech tam... – Wzruszył ramionami.

Jeszcze przez kilka chwil patrzył w ślad za dziewczyną, mając wrażenie, że w ogóle nikogo nie spotkał, a tę rozmowę z przestraszoną jasną nimfą po prostu sobie wymyślił. Ponownie wzruszył ramionami i odszedł w stronę swojego mercedesa.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, włączając silnik. Z całej siły przydusił gaz kilka razy, celowo robiąc niemiłosierny hałas, którym zupełnie się nie przejmował. Jadąc uliczką wybrukowaną ciemniejszą, większą kostką, oddalał się od ciszy i spokoju jesiennego parku i był naprawdę szczerze zadowolony, że już nigdy więcej tu nie wróci.

Inne utwory Joanny Łukowskiej:

„Państwo Tamickie” – zbiór opowiadań obyczajowych

„Ulica Abrahama” – powieść obyczajowa-historyczna

„Wybory” – zbiór opowiadań dla młodzieży

„Kura pisząca. Tom 1: Ssaki ptaki i robaki” – zbiór felietonów

„Od pierwszego dotyku” – zbiór opowiadań; romans, erotyka, obyczaj

„Dreszcze” – zbiór opowiadań; obyczaj, thriller, fantastyka

„Pierwsza z rodu: Znajda” – powieść fantasy

„Z krainy kucyków” – zbiorek opowiadań dla dzieci

Wszystkie tytuły dostępne są także w formie ebooków na stronie Oficyny wydawniczej RW2010 oraz w większości księgarni internetowych.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

dobre ebooki
w dobrej cenie

o mnie
o tobie
o nas

Oficyna wydawnicza

RW2010

www.rw2010.pl



*Nieznajomi
z parku*



*W nadziei
na lepsze jutro*



Hydra pamiątek



W świecie Jonasza



Uwaga na marzenia



Trzy

Kup książkę